CZWARTEK
Nr 106 6. IX. 1979 Cena 1,50 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

- **Nieustający konkurs na najlepszą korespondencję trwa!**
- **Kolejny ciekawy list na temat ochrony środowiska!**

Komisja za najlepszy list pt. **„Oto skutki bezmyślności"** przyznała nagrodę – kolekcję herbów miast polskich jego autorce **Alicji Marcie B. z Poznania**. Korespondencja ta została wydrukowana w 102 numerze „ŚM". **(bs)**

CZAS NA RADOŚĆ

Jeszcze o wakacjach

Z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka Budapeszt gościł młodzież z 34 krajów. W tych Europejskich Spotkaniach Dzieci uczestniczyło 620 młodych ludzi reprezentujących ponad 40 organizacji.

CIĄG DALSZY NA STR. 5

Wiele mówi się o urodzie miasteczek woj. jeleniogórskiego. W okresie lata i zimy wypoczywają tam tłumy wczasowiczów. Ale nie opodal tych miasteczek znajdują się wioski, w których również znajdują się domy wczasowe, a o których nie mówi się prawie wcale. W swej urodzie nie ustępują one wiele Karpaczowi czy Szklarskiej Porębie.

Nikt prawie nie słyszał np. o wsi Sosnówka. Znajduje się tutaj parę domów wczasowych. Sama wioska leży 10 km od Jeleniej Góry. Ze wszystkich stron otoczona jest górami. Nad wioską wznosi się góra Grodna, na której

MOJA WIEŚ SOSNÓWKA

znajdują się ruiny zameczku myśliwskiego z początków XIX wieku, rozciąga się stamtąd piękny widok na okolicę. Historia naszej wioski ma już 674 lata, wzmianka o niej pojawiła się po raz pierwszy ok. roku 1305, jednak z tak odległych czasów nie zachowała się żadna pamiątka.

Jak już wspomniałam, jest to wioska letniskowa. Władze gminy Podgórzyn, do której Sosnówka należy, dbają o wszelkie wygody przebywających tu letników.

Joanna Wierzchacz
Sosnówka

Sekretarz generalny ONZ, Kurt Waldheim, został odznaczony „Orderem Uśmiechu". Uroczystość odbyła się 21 sierpnia w Wiedniu

Fot. **CAF**

OBRAZY MALOWANE DŹWIĘKIEM

ZSRR (PAP). Naukowcy radzieccy zdobyli umiejętność uzyskiwania obrazów dźwiękowych najróżniejszych przedmiotów. Pozwalają one „zajrzeć" w głąb struktury różnorodnych wyrobów metalowych.

W celu uzyskania takiego obrazu należy umieścić przedmiot emitujący fale dźwiękowe przed specjalnym ekranem na ciekłych kryształach. Okazało się, że dźwięk dokonuje zmian poszczególnych warstw molekuł w ciekłych kryształach, w związku z czym zmienia się ich przezroczystość.

Im silniejszy jest dźwięk, tym ciemniejszy staje się obraz. Ponieważ różne części przedmiotu „dźwięczą" w różny sposób, na ekranie krystalicznym uzyskuje się zróżnicowany obraz czarno-biały. Obraz ten jest dość trwały i może być przetrzymywany na krysztale jeszcze 300 godzin po tym jak przedmiot przestał emitować fale dźwiękowe.

Obraz akustyczny pozwala ujawnić defekty metalu czy jakiejkolwiek innej substancji. Po prostu miejsca z defektami „dźwięczą" trochę inaczej niż miejsca bez defektów, co znajduje odbicie w obrazie. **(jd)**

Już wkrótce zaczniemy produkować KOLEKTORY SŁONECZNE

Są to urządzenia, które pozwalają na korzystanie z energii słonecznej wszędzie tam, gdzie ludzie potrzebują ciepłej wody i ogrzewania, a więc właściwie wszędzie: w fabrykach, teatrach, kinach, restauracjach, domach mieszkalnych...

Dobry kolektor powinien być zbudowany z materiału charakteryzującego się dużymi możliwościami absorpcyjnymi promieniowania słonecznego, odpornością na złe warunki atmosferyczne (temperatura, wilgotność, wiatr) i wytrzymałością mechaniczną (uderzenie, rozciąganie).

CIĄG DALSZY NA STR. 3

Dziś zlecenie, za tydzień – projekt!

FABRYKI Z... KOMPUTERA

oferuje automatyczny system „Astroff"

WARSZAWA (PAP). System ten, zbudowany przez specjalistów Centralnego Ośrodka Badawczo-Rozwojowego Budownictwa Przemysłowego „Bistyp" w Warszawie, pozwala w tempie kilku, a najwyżej kilkunastu dni sporządzić projekt np. hali fabrycznej z niezbędnymi obliczeniami. Kto chce zlecić komputerowi opracowanie projektu, powinien podać zakodowane wymogi, jakie ma spełniać budowany obiekt. Komputer dokonuje błyskawicznie niezbędnych obliczeń, a rysunki techniczne wykonuje zaprogramowana autokreślarka. Przewiduje się rozbudowę tego systemu, przy pomocy którego dokonano już obliczeń konstrukcyjnych dla ok. 200 różnych obiektów przemysłowych. **(tok)**

Zadecydowała przedostatnia minuta

Krajowy finał IX Międzynarodowego Turnieju Piłkarskiego „ŚM" – str. 3

Zwycięzcy krajowego finału IX turnieju: Mirosław Ławiński, Dariusz Otorowski, Janusz Lubiak, Mariusz Płóciennik, Henryk Smyk, Marek Radzikowski, Marek Byczyński, Sławomir Słomkowski, Wiesław Najsztub, Mirosław Rybicki, Grzegorz Giża, Kornel Lewa, Dariusz Rygielski, Wiesław Bojanowski, Mariusz Kruszyński.

Fot. **Z. Przybyłowski**

Na politycznej scenie

Powstało nowe niepodległe państwo KIRIBATI

Decyzja o powstaniu tego państwa zapadła w grudniu ub. roku na konferencji w Londynie, natomiast oficjalnie Republika Kiribati istnieje od 12 lipca br. W skład Kiribati wchodzą trzy duże grupy wysp: Gilberta, Line, i Feniks oraz wyspa Ocean – położone w zachodniej części Oceanu Spokojnego. Tworzyły one od 1892 roku wraz z archipelagiem Ellice (obecnie Tuvalu, który otrzymał niepodległość w październiku ub. roku) jeden obszar kolonialny pod panowaniem brytyjskim.

Wyspy odkryli w 1765 roku angielscy podróżnicy G. Gilbert i H. Marshall (ich nazwiskami nazwano na Pacyfiku właśnie dwa archipelagi wysp). Od 1882 roku Wyspy Gilberta wraz z archipelagiem Ellice znajdowały się pod protektoratem Wielkiej Brytanii, zaś w 1915 roku cały ten obszar przekształcono w kolonię brytyjską. W latach 1941–1943 wyspy okupowane były przez wojska japońskie, po czym znowu weszły w skład imperium brytyjskiego. Lokalne władze samorządowe rozpoczęły działalność dopiero w styczniu 1977 r.

Republika Kiribati, która została 41 członkiem Wspólnoty Brytyjskiej (Commonwealth), posiada łączny obszar zaledwie 683 km kwadratowych i liczy tylko 56 tys. mieszkańców, w tym 48 tys. Mikronezyjczyków. Nowe państwo należy więc do liliputów, tak jak i Tuvalu, chociaż rozciąga się na obszarze ponad 5 mln km kwadratowych. Stolicą kraju jest Bairiki, miasteczko położone na wyspie Tarava. Pierwszym prezydentem republiki został 29-letni Jeremia Tabai.

Głównym bogactwem naturalnym Kiribati jest fosfat, a jego wydobycie stanowi jedyną gałąź przemysłu na tym obszarze. Eksploatacja złóż fosforowych koncentruje się głównie na wyspie Ocean. Z tego też powodu jej mieszkańców deportowano w 1946 roku na archipelag Fidżi, aby ułatwić sobie wydobycie bogactw. Po wielu latach wywiezieni mieszkańcy Oceanu (około 2500 osób) zaczęli domagać się swoich praw, przede wszystkim powrotu, ale także odszkodowania. W tej drugiej sprawie toczył się długotrwały proces, zakończony zresztą powodzeniem. Brytyjskie firmy wydobywcze zmuszone zostały do wypłacenia odszkodowania w wysokości 7,5 mln funtów szterlingów. Gorzej natomiast przedstawia się sprawa powrotu wysiedleńców na swą rodzinną wyspę. Gdyby do tego doszło władze młodej republiki mogłyby mieć poważne kłopoty z repatriantami. Pragną oni bowiem, aby ich wyspa Ocean weszła w skład archipelagu Fidżi. Pozbawiłoby to Kiribati podstawowego źródła dochodów budżetowych. Jak ostatecznie rozstrzygnie się ta sprawa pokaże przyszłość. (b)

NIKARAGUAŃSKIE Z MARTWYCH WSTAWANIE

Równie trudne jak walka (2)

W poprzednim numerze przedstawiłem, jak doszło do zwycięstwa Frontu Wyzwolenia Narodowego im. Sandino w Nikaragui i dlaczego przeciwko dyktaturze Somozy z taką desperacją stanął cały naród. Dziś ciąg dalszy o pierwszych tygodniach wolności, równie trudnych jak tamte dni, kiedy trzeba było walczyć z bronią w ręku.

CENA

Za zwycięstwo nad dyktatorskim reżimem naród nikaraguański zapłacił i płaci nadal bardzo wysoką cenę. Szacuje się, że zginęło 50 tys. ludzi. W ostatnich dniach walk kierownik szpitala w mieście Masaya mówił wysłannikowi francuskiej agencji AFP: **„Rannych cywilów są setki, niektórzy poparzeni bombami napalmowymi i fosforowymi". „Proszę zobaczyć, co robi Somoza i Gwardia** – włączył się do rozmowy jeden z rannych – **burzą nasze miasta i domy, bombardują ludność cywilną, zabijają dzieci i starców"**. Dzieci ucierpiały szczególnie. Gwardziści traktowali je jako potencjalnych partyzantów, kalecząc rozmyślnie i strzelając do nich „dla zabawy".

Liczba ludzi, którzy opuścili swe miejsca zamieszkania sięgnęła 250 tys., tj. jednej dziesiątej wszystkich mieszkańców kraju. Część uciekła za granicę. 700 tys. ludzi straciło dach nad głową. Pomocy w różnych formach potrzebuje gwałtownie ok. połowa ludności.

Gospodarka kraju została zniszczona w 80 proc., rolnictwo całkowicie opuszczone. Ocenia się, że dla 80 proc. ludzi w wieku produkcyjnym nie ma pracy. Odbudowa Nikaragui kosztować będzie 2,5 mld dolarów i potrwa ok. 10 lat. Somoza licząc się z klęską wydatkował w pierwszej połowie roku prawie cały roczny budżet państwa, zadłużył kraj za granicą na sumę 1,4 mld dolarów. Taki jest rozmiar zbrodni dyktatora, tak straszliwa jest cena zwycięstwa.

Nie są to rany łatwe do zaleczenia. Korespondent PAP, **Ryszard Rymaszewski**, pisał w sierpniu z Leon, drugiego co do wielkości miasta Nikaragui: **„Niedostatek żywności jest udziałem wszystkich mieszkańców i u większości występują już oznaki zagłodzenia. Zburzony kwartał w śródmieściu jest zamknięty – nie wiadomo bowiem, jakie tam lęgną się choroby. Na szczęście w mieście jest woda pitna. Są jednak przypadki tyfusu, malarii i ciężkiej biegunki. Brak jest leków, zwłaszcza antybiotyków."** Nikaragua, by przetrwać, potrzebuje międzynarodowej pomocy – żywności, leków, odzieży.

GROŹBA

„Tak jak w 1965 r. poparłem osobiście interwencję amerykańską w Dominikanie – oświadczył polityk argentyński, Emilio P. Hardoy – **tak samo i teraz poparłbym interwencję amerykańskich żołnierzy w Nikaragui, aby nie dopuścić do oddania tego kraju we władzę castryzmu."** Straszenie, że Nikaragua może stać się kolejną Kubą, tzn. kolejnym krajem socjalistycznym w Ameryce Łacińskiej, stanowiło jeszcze w okresie walk powstańczych główny argument tych, którzy pragnęliby zdusić siłą sandinistów. O kubańskim straszaku tak się wyraził w rozmowie z polskim dziennikarzem, **Krzysztofem Mroziewiczem**, wspominany już płk Larios Montiel, którego trudno posądzić o sympatię do komunistów: **„To absurd i mącenie w głowie. Kuba ma swoje problemy i jest tam, a my jesteśmy tu. Musimy rozwiązywać nasze problemy po swojemu. Kubę wymyślił Somoza."**

A więc o co chodzi? Zwycięstwo sandinistów w Nikaragui stanowi zaraźliwy przykład dla wielu narodów latynoamerykańskich, ujarzmionych przez reżimy dyktatorskie. Zmiany w Nikaragui wywołać więc musiały obawy dyktatorskich rządów w Salwadorze, Gwatemali i Hondurasie, a także wojskowych reżimów w Chile, Paragwaju, Urugwaju i Argentynie. Choć trzeba przyznać – jak dotychczas żadne z tych państw nie zaangażowało się w zbrojną awanturę przeciw Nikaragui, a napaści na rząd rewolucyjny ograniczają się do ataków w prasie. Te reżimy dyktatorskie stanowią zaś ostoję wpływów Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej i najpewniejszą – zdaniem polityków USA – zaporę przeciwko ideom socjalizmu. Stąd metodą reakcji łańcuchowej obawy latynoamerykańskich dyktatorów są również obawami Stanów Zjednoczonych. Przyznał to otwarcie amerykański senator John M. Murphy stwierdzając: **„Tu nie chodzi o Somozę, lecz o Nikaraguę i interesy bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych. Powstanie sandinistów – to drugi Wietnam, lecz na naszej półkuli."**

Amerykanie usiłowali pod sztandarem Organizacji Państw Amerykańskich zorganizować zbrojną interwencję w Nikaragui jeszcze kiedy trwały walki powstańcze. Powstrzymał ją zdecydowany sprzeciw większości państw latynoamerykańskich. Ale groźba ta istnieje nadal. Niedobitki Gwardii Narodowej dopuszczając się licznych mordów usiłują sprowokować nawrót walk. Krążą pogłoski, że Somoza przygotowuje się do akcji przeciw Nikaragui. Ponad 5 tys. gwardzistów schroniło się w Hondurasie, Salwadorze i Gwatemali.

Robotnicy w mieście Estela porządkują zniszczone w czasie wojny ulice
Fot. CAF–Photofax

JEDNOŚĆ

Do dnia zwycięstwa jednoczył wszystkich w Nikaragui gwałtowny sprzeciw przeciw Somozie i jego rządom. Bez kontynuowania tej jedności nie można ani utrzymać, ani utrwalić tego, co zostało osiągnięte w walce zbrojnej. Zrozumienie tej prawdy jest wśród Nikaraguańczyków powszechne. W rewolucyjnych władzach republiki znaleźli się przedstawiciele robotników, chłopów, przemysłowców, intelektualistów, duchowieństwa, reprezentanci różnych orientacji politycznych. Taki jest skład 5-osobowego prezydium Rządu Odnowy Narodowej, spełniającego funkcję kolegialnego prezydenta i premiera jednocześnie, tak został zbudowany gabinet ministrów.

Front Wyzwolenia Narodowego im. Sandino współdziała we władzach z innymi przedstawicielami opozycji przeciw Somozie i wyraźnie podkreśla, że uważa się za przedstawiciela części narodu, tej najbardziej – przed rewolucją – prześladowanej i wyzyskiwanej. W dyrektoriacie Frontu każda z trzech tendencji reprezentowana jest przez równą liczbę przedstawicieli. Podobnie w naczelnym dowództwie sandinowskiej Armii Ludowej. Z głębokiego zrozumienia potrzeby jedności rodzi się poparcie dla przekształcenia Frontu w jedną partię polityczną, świadomość, że nie wolno się dać podzielić. Stąd też dążenie do stworzenia jednej centrali związków zawodowych.

W miejscach zamieszkania tworzy się sandinowskie komitety obrony, zalążek władzy terenowej. Prowadzą one pracę uświadamiającą, przysposobienie wojskowe, rozdzielają żywność, organizują pracę przy odbudowie i pomoc sąsiedzką. To też jeden z instrumentów zespalania ludzi wokół rewolucji.

To dążenie do jedności narodowej znalazło też wyraz w bardzo humanitarnym stosunku władz rewolucyjnych do b. żołnierzy Gwardii Narodowej, którzy złożyli broń. Wszystkich ich traktuje się jako jeńców wojennych. Jedynie winni zbrodni wojennych odpowiadać będą przed sądami za dokonane bestialstwa. Ale i im nie grozi kara śmierci. Została ona po zwycięstwie zniesiona.

CIĄG DALSZY NA STR. 7

JERZY MAJKA

Dreszczowiec

Jaś i Małgosia w szponach Baby Jagi. Wilk pożera babcię, a na deser Czerwonego Kapturka. Rycerze wspinają się na szczyt Szklanej Góry, odpadają razem z bogu ducha winnymi końmi i nie mogą liczyć na pomoc żadnego górskiego ratownika. Przewrotni czarodzieje zmieniają ludzi w co tylko chcą: Gołąbki – co jeszcze nie jest takie złe – żaby, świnie itp. Okrutna macocha złośliwie (bardzo!) szykanuje sierotkę Marysię, aż wreszcie wypędza ją z rodzinnego domu. A to czyn karalny, gdyż w ten sposób wyzuła sierotkę z posiadania i użytkowania części schedy po mamusi, co jest – jak wiemy – sprzeczne z literą i duchem prawa spadkowego.

Straszne to były bajki, włos jeżące na głowie. A co wyprawiały dawniej babcie? Te kochane babcie, snujące u kolebek i łóżeczek wnuczków straszliwe opowieści o zmorach, duchach, upiorach, wilkołakach i wampirach. Jakby tego było jeszcze mało brały w obroty cyganów, odsądzając ich od czci i wiary jako nałogowych porywaczy dzieci. Po takiej „dobranocce", wnuczek za żadne skarby świata nie chciał spać w ciemnej izbie, a w nocy budził się ze straszliwym wrzaskiem, zlany „zimnym" potem strachu, gdyż przyśniło mu się, że wdrapuje się na Szklaną Górę i choć przebiera nogami jak tylko może, to stoi w miejscu, a tuż za nim rozdziawia paszczę wilk, z której to paszczy widać zelówki bucików Czerwonego Kapturka. To jeszcze nie wszystko! Tuż nad jego głową krąży z okropnym chichotem Baba Jaga na miotle, usiłując z lotu nurkowego złapać go za włosy i porwać w powietrze. I kiedy czuje już jej szpony – a można przypuszczać, że jest to uczucie okropne – nie wytrzymuje napięcia i zaczyna krzyczeć. Ulgę, ale dopiero po dobrej chwili, daje obudzenie. I wszystko już byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że pod oknem stoi Biała Dama i falując lekko, jak to duch, przyzywa nieszczęsne dziecko do siebie.

Tak do dawniej dzieci straszono, ba, żeby tylko dzieci – a dorośli to się nie straszyli? Jeszcze jak! Naprzód kameralnie w rodzinnym gronie przy ognisku, kominku i piecu w długie zimowe wieczory, a gdy nauczyli się pisać, to od razu niektórzy wzięli się za przeniesienie na papier tych niesamowitych opowieści. Ostatnio, to znaczy od kilkudziesięciu lat, dzięki masowym protestom psychologów najmłodsza młodzież została pozbawiona, przynajmniej w światlejszych rodzinach „dreszczowców" w wykonaniu babć. Choć – trzeba dodać, żeby było sprawiedliwie – że i dziadkowie maczali palce w tej aferze straszenia dzieci. Teraz babcia wkuwa na blachę „Lokomotywę" Tuwima, czy historię o nieudanych zalotach pana Żuka do panny Biedronki – Brzechwy, nie mówiąc już o bajkowej historii „Jak powstaje stutysięcznik" (to o statkach), lub dramatycznej baśni „Telewizja od kuchni". Wkuwa i sapie, sapie i ... przepraszam, pomieszało mi się z „Lokomotywą". Tak więc jedno jest pewne, książki dla dzieci zostały „odstraszone" całkowicie. Natomiast filmy w kinie i telewizji straszą dalej aż miło. I oczywiście mają powodzenie, bo człowiek bez względu na wiek lubi jednak ten dreszczyk emocji, zwłaszcza, gdy strach jest pochodzenia bajkowo-filmowego i niczym mu osobiście nie grozi. Więc płoną wieżowce, zapada się w ocean Japonia, rekin rozdziawia potworne szczęki raz i drugi, że już nie wspomnę o różnych potworach jak Godzilla i jej kolejni przeciwnicy. Ostatnio przeżyłem „Bliskie spotkania trzeciego stopnia" i wiem już, że należy się trochę tych kosmitów na swoich UFO bać, ale nie za bardzo, bo nie zabijają, a jak porwą człowieka, to i zwrócą. Natomiast nie mogę ochłonąć z przerażenia, wywołanego zupełnie inną przyczyną. Otóż na filmie tym, pośród wielu rzeczy, które się „same" uruchamiają jak lodówki, telewizory, ruszają się też zabawki. Różne elektrowozy, pojazdy kosmiczne, samochody itp. I są to tak świetne zabawki, że chyba nie ma dorosłego, który nie chciałby się nimi pobawić. Czy przestraszył mnie pędzący samochodzik? Ależ nie. Przeraziło mnie porównanie między tymi zabawkami a tym, co znajduje się na półkach w „jednym z większych w Europie" domów towarowych dla dzieci – w warszawskim „Smyku" oraz we wszystkich innych sklepach. Jest to po prostu przerażające.

JERZY KOWALKOWSKI

Grażyna

– W mojej brygadzie jestem najmłodsza. Ale to nie oznacza, że mam jakąś taryfę ulgową. Tak jak wszyscy łażę po rusztowaniach, dźwigam odlewy gipsowe, aż ręce puchną. Wprawdzie chłopcy czasem wyręczą, ale i tak człowiek się narobi. Czasami jak tak spojrzę z rusztowań w dół, to dostaję zawrotu głowy. Tutaj, w Zamku Królewskim, została nam jeszcze jedna sala do wykończenia. Takie skomplikowane stiuki. Ale za nami kawał roboty. Aż trudno uwierzyć, że spory w tym i mój udział.

Grażyna Babut marzyła o zawodzie plastyka. Po podstawówce złożyła papiery do liceum plastycznego. Do egzaminów przygotowywała się sumiennie. Kiedy nie znalazła swego nazwiska na liście przyjętych, nie mogła uwierzyć. Pierwsza porażka.

Unikała znajomych ze starej szkoły. Myślała – jak im spojrzę w oczy? Nigdy żadnych kłopotów, nauka przychodziła łatwo, a tu... W domu – płacz. Było jej ciężko.

O Zespole Szkół Budowlanych na ulicy Księcia Janusza w Warszawie dowiedziała się przypadkiem. W informatorze napisali – malarz, sztukator. Sztukator – to miało coś wspólnego ze sztuką. Tyle wystarczyło, żeby złożyła podanie o przyjęcie do dwuletniej szkoły zasadniczej.

W I klasie najwięcej zajęć mieli z „malarstwa". I pierwsze odciski na rękach. Bo właśnie one, dziewczyny, zajmowały się na budowie pracami wykończeniowymi. A więc skrobanie i mycie okien, posadzek, malowanie ścian. Ciężko. Było to dalekie od marzeń o pracy w jasnej pracowni konserwatora obrazów. Ale pogodziłam się z tym faktem.

O zawodzie sztukatora Grażyna wiedziała niewiele. Uczyła się rysunków, rzeźby, techniki, odlewów gipsowych. Ich szkolna pracownia sztukatorska wyglądała jak pracownia artysty-rzeźbiarza. Tutaj trzeba było mieć smykałkę do takich rzeczy. Zajęcia w pracowni sztukatorskiej trwają rok.

Śni mi się biały korytarz

Grażyna porozmawiała z dyrektorem szkoły i została na następny.

Te dwa lata minęły szybko. Dziewczyna miała już zawód. Trzeba było znaleźć gdzieś pracę. Tym razem poszczęściło jej się. Trafiła do pracowni sztukatorskiej na Zamku Królewskim. To było jej marzenie. Nareszcie jakiś sukces. Spotkała ciekawych ludzi, pracujących od lat w zawodzie sztukatora. Często właśnie do nich przychodzili plastycy i pytali: – Panie Jurku, tak to będzie dobrze?

Na podjęcie nauki w technikum wieczorowym zdecydowała się szybko. Nie było na co czekać. Większość jej kolegów z klasy podjęła taką samą decyzję.

Dziś trzeba wstać rano, dojechać do pracy, a tam jak co dnia – ciężka robota. A potem jeszcze trzy razy w tygodniu do szkoły. Przed Grażyną jeszcze przeszło rok nauki. No i dyplom. Powinno się wszystko powieść.

– Czasami spotykam koleżanki po liceum, które bezskutecznie poszukują pracy. Są niezadowolone i rozgoryczone. I tak sobie wtedy myślę, może to i dobrze, że kiedyś tam egzamin się nie powiódł.

Marek

Nie chce mówić, jaka to była sprawa. Na pewno przykra. W każdym razie musiał zmienić szkołę. W domu płacz i zgrzytanie zębami, ale co było robić? I tak przecież w życiu bywa.

Przyjechał do Warszawy i w zawodowej „budowlance" złożył papiery. Został przyjęty. To było zupełnie coś innego niż nauka w Technikum Leśnym. Na początku było mu trudno. Obcy ludzie – i w szkole, i w hotelu robotniczym. Tęskno za domem. Ale człowiek szybko przywyka, i Marek zaczął się przyzwyczajać. Nawet to, czego się uczył, zaczęło go interesować.

Miał zostać murarzem-tynkarzem. Najpierw więc praktyki na warszawskich budowach. Trzeba było nieraz zęby zaciskać, bo zawód tynkarza to ciężki kawałek chleba. O tym Marek dobrze wie. Miał 17 lat, kiedy podjął pierwszą pracę w Zakładzie Robót Wykończeniowych „Muranów". Na początku śniły mu się po nocach kilometry białych, spryskiwanych farbą ścian. Ale i do tego można było przywyknąć. Ludzi poznał, polubił, nawet do domu rzadziej zaglądał.

Dwa lata zawodówki minęły błyskawicznie. Pożegnanie ze szkołą i żal. Żal mu było nauczycieli, z którymi można było pogadać, pożartować. Koniec łatwego życia. Za drzwiami szkoły czekała już praca na budowie. Marek Wysocki dostał się do dosyć młodej brygady. Był najmłodszy i jak się okazało – zupełnie jeszcze zielony w fachu. Od początku zaczęła się nauka.

W czasie wakacji zdecydował, że będzie uczył się dalej. Kto wie, czy ostatecznie nie wyląduje na Politechnice? Najpierw jednak technikum. Złożył papiery do wieczorowego. Przyjęto go. Powrót do starej szkoły. Znajome ściany, znajomi nauczyciele.

Trzeba było znów wziąć się w garść. Rano do pracy na budowę, a później biegiem do szkoły. Wieczorami nauka we wspólnym pokoiku robotniczego hotelu. Światło pada na książkę, głowa pochyla się coraz niżej. Spać. Powieki robią się ciężkie. Markowi śni się długi, długi korytarz pomalowany na biało.

ANNA CHEŃSKA

Krajowy finał IX Międzynarodowego Wakacyjnego Turnieju Piłkarskiego o Puchar „Świata Młodych"

ZADECYDOWAŁA PRZEDOSTATNIA MINUTA

„Biali Górnicy" Piechcin (woj. bydgoskie), „Błyskawica" Przeczyce (woj. katowickie), „Gryf" Dębno (woj. gorzowskie) oraz „Nalowcy" z Gdyni – oto drużyny, do których uśmiechnęło się szczęście w losowaniu finalistów krajowych tegorocznego turnieju. Po rozwiązaniu jednej niewiadomej nastąpił przedostatni akt naszej imprezy. Na pięknie przygotowanym stadionie w Piechcinie rozpoczęły się boje o tytuł mistrza i o awans do finału międzynarodowego. Tak się złożyło, że niemal do ostatnich sekund wszystkich meczów nie było wiadomo kto zostanie ich zwycięzcą. Wyrównane pod względem piłkarskich umiejętności zespoły, wola zwycięstwa u każdego uczestnika imprezy sprawiły, że zawody mogły podobać się najbardziej wybrednym kibicom. A oto krótkie relacje z poszczególnych spotkań.

„GRYF" – „NALOWCY"

3 min. spotkania. Napastnik „Gryfa", **Waldek Pożarycki,** strzela inaugurującą bramkę. W chwilę później ponowne zamieszanie pod „świątynią" „Nalowców". Za rękę jednego z obrońców gdyńszczan sędzia dyktuje rzut karny. Do ustawionej piłki podbiega **Krzysiek Krawczyk** i nie daje żadnych szans **Jarkowi Iwańskiemu.** Jest 2:0. Na 3:0 wynik podwyższa obrońca „Gryfa" **Leszek Kłosowski.** Jego rajd prawą stroną boiska zaskakuje wszystkich.

Jednak „Nalowcy" ani myślą kapitulować. Tuż po przerwie ich skrzydłowy **Arek Drzymalski** strzela dwa efektowne gole. Wykorzystuje świecące wprost w oczy bramkarza rywali słońce i z dalszych odległości lokuje piłkę w siatce. Ale riposta w wykonaniu zawodników z Dębna następuje natychmiast i **Rysiek Rutkowski ustala wynik meczu na 4:2.**

„BŁYSKAWICA" – „BIALI GÓRNICY"

Tego nie spodziewał się nikt. Ostatnia minuta meczu i wynik 0:0. Rośli piłkarze „Białych Górników" (reprezentują okręg, gdzie wydobywa się surowiec do produkcji wapna i cementu) nie mogą poradzić sobie z maleńkimi zawodnikami przeciwnika. Właściwie gra toczy się na jednej połowie boiska, ale piłka o centymetry mija się z bramką „Błyskawicy", lub staje się łupem świetnie ustawiającego się **Grześka Cebuli.** Grzesiek jest bohaterem tego nierównego pojedynku. Wydaje się, że zaczarował okoloną słupkami i poprzeczką przestrzeń. Z kocią zręcznością likwiduje wiele niebezpiecznych dla zespołu sytuacji. Patrzymy na zegarki, sędzia podnosi gwizdek do ust. Zdenerwowanie w obu drużynach. O zwycięstwie jednej z nich zadecydują chyba „jedenastki". Ale oto ostatnia akcja napastników Piechcina. **Marek Radzikowski** przechwytuje piłkę i mocno strzela obok słupka. Zasłonięty przez kolegów Grzesiek nie ma szans na skuteczną interwencję. **Wygrywają „Biali Górnicy" 1:0. Oni właśnie oraz „Gryf" walczyć będą o tytuł mistrza.**

Tak grał bramkarz „Błyskawicy" Przeczyce, Grzegorz Cebula. Trzeba przyznać, że uratował swój zespół od większych strat

„NALOWCY" – „BŁYSKAWICA"

Dh hm PL **Władysław Górny,** opiekun gdyńskiej drużyny, uśmiechnął się, kiedy powiedziałem mu, że według moich przewidywań jego zespół przegra ten mecz. Po obserwacji poprzednich pojedynków miałem powody, aby tak sądzić. Jednak dh Górny przewidział wydarzenia, wszystko potoczyło się po jego myśli. Chociaż...

Maleńki **Marek Cichoń** z Przeczyc już na początku meczu ma okazję do ulokowania piłki w bramce „Nalowców". Ale bardziej rośli obrońcy przeciwnika szybko likwidują jego rajd. Identyczna sytuacja powtarza się pod koniec pierwszej połowy tego decydującego o trzeciej lokacie spotkania. Druga część rozpoczyna się atakiem gdynian. Ich kapitan **Andrzej Garbala** przechwytuje boczne podanie partnerów i z całej siły kopie piłkę. **1:0 dla „Nalowców". Wynik utrzymuje się już do końca.** Desperacka ofensywa „Błyskawicy", a szczególnie jej stopera **Cześka Kutka,** najlepszego chyba zawodnika pojedynku, zmiany rezultatu nie przynosi.

„BIALI GÓRNICY" – „GRYF"

Mówi się, że sędziowie zawsze mają rację. Ale tym razem popełniono gafę. Nie uznanie prawidłowo strzelonego gola (piszemy o tym w innym miejscu) mogło zdeprymować piłkarzy „Gryfa". Ale zawodnicy Dębna bardzo szybko otrząsają się z chwilowego zastoju spowodowanego decyzją arbitra. Ku rozpaczy licznie zgromadzonych kibiców „Białych Górników" jeszcze raz celnie trafiają. Autorem pięknego gola jest **Mirek Tuszyński.** Jednak odpowiedź gospodarzy jest niemal natychmiastowa; po upływie zaledwie 2 min. wynik meczu brzmi 1:1. Szczęśliwym strzelcem jest **Marek Radzikowski.**

Pomimo obustronnych ataków sytuacja jest bez zmian aż do przedostatniej minuty spotkania. Teraz dopiero rozstrzygają się losy całego finałowego turnieju. Następuje kolejna akcja ofensywna „Białych Górników". Do lecącej tuż nad ziemią piłki rzuca się **Marek Rybicki** i głową zmienia kierunek jej lotu. **Jest 2:1. Szał na trybunach, ogromna radość w piechcińskiej drużynie. Główny puchar w jej rękach.**

ZDZISŁAW PRZYBYŁOWSKI
Fot. autora

Oficjalne wyniki finału

Drużyna	Punkty	Bramki
1. „Biali Górnicy"	4:0	3:1
2. „Gryf" Dębno	2:2	5:4
3. „Nalowcy" Gdynia	2:2	3:4
4. „Błyskawica" Przeczyce	0:4	0:2

Widziane z trybun

Jak równy z równym

Jeszcze jeden turniej mamy za sobą. Właściwie nie nastąpił jego finał, zwycięzcę krajowych rozgrywek czekają teraz pojedynki z zagranicznymi rywalami. Kilkaset drużyn uczestniczyło w tegorocznym turnieju i aż szkoda, że do puli finałowej trafić mogły tylko cztery. Szkoda, bo wierzymy, że równie dobrą grę ujrzelibyśmy w wykonaniu większości wakacyjnych zespołów. W Piechcinie zobaczyliśmy godny imprezy futbol. Chyba po raz pierwszy w historii naszych turniejów nie zarysowała się zdecydowana przewaga żadnej z drużyn. Zawody równie dobrze wygrać mógł „Gryf" z Dębna, a trzecia lokata mogła przypaść zawodnikom z Przeczyc. Ten najmłodszy zespół miał w Piechcinie pecha. Oba mecze przegrał w stosunku 0:1, a bramki stracił dosłownie w ostatnich sekundach pojedynków. Ale pomimo tych porażek przeczycka „Błyskawica" (założył ją trzy lata temu obecny kapitan drużyny Jurek Siudyka), zyskała wielu sympatyków. Każdy z jej członków wkładał wiele serca do gry. Klasę pokazał bramkarz „Błyskawicy" Grzesiek Cebula, w obronie równie doskonale, poczynał sobie Czesiek Kutek, wreszcie w ataku najbardziej błyszczał najmniejszy zawodnik imprezy, Marek Cichoń. I pomyśleć, że „jedenastka" z Przeczyc nie miała dotąd żadnego opiekuna. Gdzie ci chłopcy nauczyli się piłkarskiego rzemiosła? Pan naczelnik gminy Mierzęcice, który zafundował zawodnikom podróż pięknym „Mercedesem" może być dumny z najmłodszej na swoim terenie drużyny.

Zaimponowali mi również futboliści z Gdyni. „Nalowcy" przegrali z wicemistrzem imprezy tylko 2:4. Jednak walczyli do ostatnich sekund meczu. Twierdzili później, że inaczej postąpić nie mogli, że w finale nie wypadało zawieść ani swojego hufca, ani chorągwi. Harcerskie władze zadbały bowiem nawet o autokar, którym piłkarze w koszulkach z napisem NAL podróżowali na zawody.

Pięknie to był zorganizowany finał. Taka jest opinia wszystkich jego uczestników i obserwatorów. Zawodnikom nie zabrakło dosłownie niczego, nawet wycieczki do pobliskiego Biskupina, pałuckiej Wenecji, Rzymu. W ich imieniu dziękujemy władzom gminy Barcin za włożony w przygotowanie imprezy trud. Szkoda tylko, że podczas trwania i zakończenia zawodów nie zobaczyliśmy na piechcińskim obiekcie kierownictwa Bydgoskiej Chorągwi ZHP. Szkoda również, że pan Stefan Moritz, sędzia główny finału, nie uznał gola strzelonego przez piłkarzy „Gryfa"– Dębno. Odgwizdał tzw. spalonego po strzeleniu bramki przez zawodnika, który... samotnie przedarł się z piłką przez linię obrony rywali. Pan Moritz spać spokojnie chyba nie będzie. Spać spokojnie również nie będą ukrzywdzeni przez niego 14-letni sportowcy. (zp)

NOWE I NAJNOWSZE

Już wkrótce zaczniemy, produkować KOLEKTORY SŁONECZNE

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Historia kolektorów słonecznych jest dosyć długa, a na jej ostatniej stronie znajdują się:

● tzw. płaskie kolektory słoneczne zbudowane ze szklanych pokryw, czarnych metalowych płyt pochłaniających ciepło i przewodów. Eksperymenty z nimi nadal trwają.

● kolektory na bazie folii. I tu przeszliśmy następujące stopnie: oto materiały, z których je budowano:

1. Folia polietylenowa: tani, ale nieodporny na warunki klimatyczne materiał, również zatrzymujący część promieni podczerwonych.
2. Folia z polichlorku winylu – również tania, ale mało odporna.
3. Płyty poliestrowe (czyli właściwie nie folia, a laminat). Kolektor mocny, łatwy do zmywania (usuwanie piasku i kurzu), ale półprzeźroczysty.
4. Folie wielowarstwowe – najczęściej zbrojone włóknem szklanym.
5. Ostatnio osiągnięty stopień to folie fluorowe będące obecnie najlepszym rozwiązaniem. Są one kombinacją czterofluoroetylenu z etylenem, a odznaczają się dużą wytrzymałością mechaniczną, odpornością na temperatury (od –150°C do +150°C) i warunki klimatyczne, są niepalne i posiadają dużą przenikliwość dla światła słonecznego. Najlepsze zastosowanie znajdują do uzyskiwania wody o niewysokiej temperaturze, np. w basenach kąpielowych.

● Maty to ostatnie słowo w historii kolektorów. Są to płyty pochłaniające ciepło, zbudowane z tworzyw sztucznych. Kolektor firmy RFN „Ritsche" wykorzystuje nawet ukośnie padające promienie słoneczne. Posiada bardzo dużą powierzchnię przekazu ciepła, jest odporny na mrozy i odznacza się wytrzymałością mechaniczną. Ma wymiary: 125 cm × 205 cm × 10,5 cm. Odpowiednia ilość takich kolektorów połączonych w specjalny sposób tworzy dach zabudowania. Będą one produkowane w Polsce na licencji hamburskiej firmy „Fritsche". **(jt)**

PODSŁUCHANE, PODPATRZONE NA TRASIE (6)

Nocna wyprawa w nieznane i...

Zachowanie „pompek" zrozumieliśmy dopiero przy wjeździe na teren hajnowskiego Zespołu Szkół Zawodowych, gdzie wyznaczono nam biwak. Czekała tu już na nas pięcioosobowa delegacja czwartego rajdu: dwie Hanie, Renia, Gosia i Wiesiek. A na biwaku pojawiły się jeszcze roześmiane delegacje pozostałych rajdów: z pierwszego – Ala, Grzesiek i Jurek, z drugiego – Gosia, Lilka i Zbyszek zwany „Twardzielem", a z trzeciego – samotna Olga, pani zootechnik. No właśnie! Jak do nich mówić? Jedni są studentami, drudzy pracują, a my jeszcze „smarkateria". Próżne wątpliwości, bo przecież tworzymy jeden rajdowy krąg, jedną rajdową rodzinę. A rozrosła się nam rodzinka, oj rozrosła! Jest nas już 103 osoby, bo tyle uczestniczyło w pięciu rajdach, a niektórzy mają już przecież dzieci.

Wkrótce po rajdowiczach z poprzednich lat na biwak zawitali oficjalni goście: sam naczelny redaktor „Świata Młodych" – Jerzy Majka, ze swoim zastępcą, a naszym już dobrym znajomym – Stanisławem Borowieckim. Przybyła również druhna Halina Grzelakowska – zastępca komendanta Białostockiej Chorągwi i Jan Tołoczko – przedstawiciel Centrali PZU, instytucji, bez pomocy której nie byłoby naszych rajdów.

Obawialiśmy się, że zaraz rozpoczną się powitalne mowy, prezentowanie, a my będziemy wręczać kwiatki, oczywiście z miłym uśmiechem na twarzy i odpowiednim dygiem. Ale gdzież tam! Weszli na biwak, jakby od początku byli uczestnikami rajdu – w masy, czyli w naszą gromadę. Zaskoczyło nas to trochę, bo – co tu dużo mówić – oficjalnych gości zawsze i wszędzie wita się pompatycznie, ogląda tylko z daleka, a po powitaniu i „mowie do ludu" zaraz gdzieś znikają. Ci byli cały czas z nami, do chwili pożegnań. Dziwne zwyczaje panują na tym rajdzie. Bomba!

Wyczuwaliśmy, że kadra rajdu coś przed nami ukrywa. Pewnie znowu jakiś kawał, jak z tą wartą... „Zapomnieli" nas wyznaczyć i sami pełnili ją aż do rana. A było to po słynnej ulewie w Białej Podlaskiej, kiedy to przemokliśmy do suchej nitki. Dziś wiemy, dlaczego to zrobili i jesteśmy im za to bardzo wdzięczni. Próbowaliśmy wydobyć choć rąbek tajemnicy od naszych rajdowych poprzedników, ale oni tylko się uśmiechali.

Zdziwiliśmy się bardzo, gdy o 22^{30} kazano nam wsiadać na rowery. Dowcipne te rajdowe „pompki", nie ma co! Ruszyliśmy na pełnych światłach poza miasto. Widok był wspaniały! Dziesiątki migocących w ciemnościach światełek i ta cisza wokół nas... Po dwunastu kilometrach jazdy dotarliśmy do... Zwierzyńca. Co u licha?! Przecież dwadzieścia dwa dni temu rozpoczynaliśmy rajd właśnie w Zwierzyńcu! Żadne czary, to po prostu zbieżność nazw dwu różnych miejscowości, a ta leży na skraju Puszczy Białowieskiej.

Stanęliśmy w kręgu, wokół płonącego ogniska. Dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, że niespodzianka – to koniec Wielkiej Rajdowej Przygody, ostatnie ognisko wszystkich rajdów „Świata Młodych". Swobodny do tej pory nastrój prysł. Powtarzaliśmy słowa rajdowego ślubowania: „...w ostępach zwierzynieckiego lasu, słowem rajdowca – sobie i tu obecnym przyrzekamy..." Po raz pierwszy patrzyliśmy na siebie jakoś inaczej, jak na ludzi, na których zawsze można liczyć – w smutku i radości. Jak dobrze być wśród takich ludzi. Jak dobrze być takim!

Płomień ogniska pięciu rajdów strzelał wysoko w niebo, a my śpiewaliśmy piosenki, te radosne – pełne radości, i te smętne – o tęsknocie i miłości... Czas jednak jest nieubłagany, nie zatrzymasz go, choćbyś bardzo chciał! Ognisko dogasało, a my stanęliśmy do ostatniego rajdowego kręgu. To nie pożegnanie! Spotykać się będziemy przy obozowych ogniskach i ogniskach wędrowców, takich jak my. Staniemy obok siebie, splecimy ręce...

Choć mnie los odmienny
rzuci w świat
na Twój zew płomienny
stanę rad
splot naszych ramion
jedna myśl
kręgiem serdecznych więzów
oplecie świat

Koncertem w hajnowskim amfiteatrze żegnali rajdowcy Ziemię Białostocką. Cztery lata temu wyruszył stąd rowerowy rajd „Świata Młodych", na 3654-kilometrową trasę przygód i bezpiecznych dróg. W ciągu 121 dni wędrówek odbyli rajdowcy setki spotkań z dziećmi i swoimi rówieśnikami. Przy rajdowym ognisku zasiadali również przedstawiciele różnych zawodów, naukowcy, artyści i działacze kultury. Bogactwo zdarzeń, przeżyć i osobistych refleksji z tych spotkań spisali w obszernych kronikach sami uczestnicy pięciu rajdów.

Być może, że ci spośród Was, którzy uczestniczyli w spotkaniach z rajdowcami, zasiadali przy ich ognisku, zechcą kontynuować rowerową wędrówkę wokół granic naszego kraju. A może wzdłuż linii Wisły, Warty czy Odry?

ALBIN SELLOK

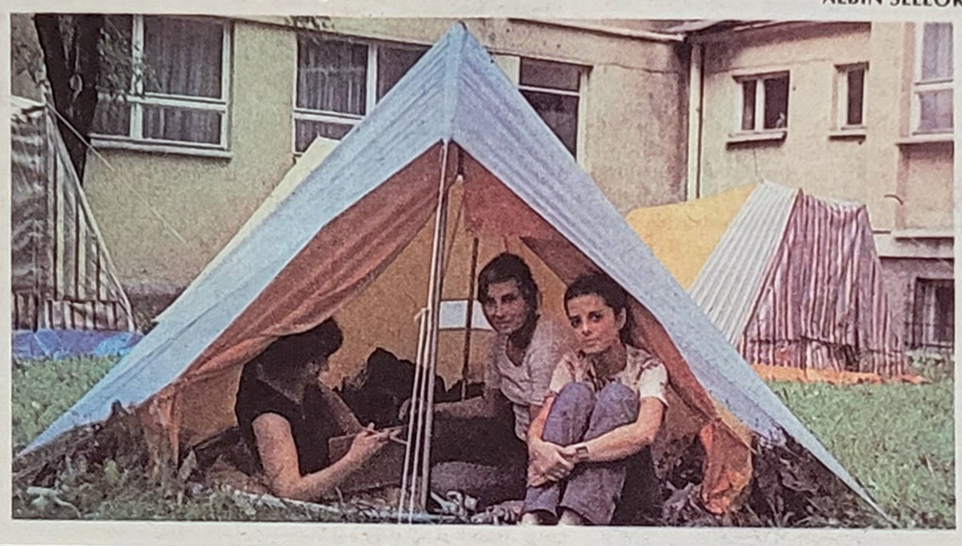

Ostatni biwak w Hajnówce. Na zdjęciu: Gosia i Lilka z drugiego rajdu i Olga z trzeciego

Fot. R. Ratajczyk

CZSP CENTRALNY ZWIĄZEK SPÓŁDZIELCZOŚCI PRACY

usługi

DZIANINY

- EFEKTOWNE
- CIĄGLE MODNE
- ZAWSZE PRAKTYCZNE
- ODPOWIEDNIE NA KAŻDĄ PORĘ ROKU

Bogaty wybór dzianin: sukienek, spodnic, swetrów, bluzek produkowanych przez spółdzielnie pracy znajdziecie w sklepach branżowych na terenie całego kraju. Dla tych, którzy chcą mieć dzianinę według swojego pomysłu, zakłady usługowe dziewiarskich spółdzielni pracy świadczą usługi na zamówienie z materiałów własnych lub powierzonych.

K–83

Jak zgrać klasę?

Jesteśmy uczennicami jednej klasy, bardzo niezgranej. Dziewczyny skarżą i krzyczą. Chłopcy zaczepiają nas, podkładają nogi, popychają, strzelają z procy. Nigdy nie można z nimi poważnie porozmawiać. Pewnego dnia chłopcy tak zdenerwowali nauczycielkę od fizyki, że aż się popłakała. Nam było głupio i żałowałyśmy, że tak się stało. Poprosiłyśmy chłopców, aby Panią przeprosili i wręczyli kwiatki. Nie posłuchali nas, powiedzieli, że jest to głupia propozycja; zresztą inne dziewczęta, poza nami dwoma, były tego samego zdania, co chłopcy. Kto miał rację? Co należy robić, aby nasza klasa była zgrana i koleżeńska, tak jak inne?

Teresa i Ela

O ratunek dla Uherki

Przez Chełm przepływa mała rzeczka Uherka. Nie można jej jednak nazwać „rzeką", gdyż jej wody, to... wszelkie brudy i ścieki. Tutejsza winiarnia odprowadza ścieki do Uherki. W sezonie pomidorowym jej wody są ukraszone na czerwono, ale i kiedy indziej nie wyglądają lepiej. Miejscowa łaźnia też pozbywa się ścieków, wydalając je do Uherki. Tę sytuację wykorzystują mieszkańcy Chełma. Rzucają do wody padlinę, szkło, butelki, połamane kawałki drewna, stare garnki, druty itp. Po zmieszaniu tych składników tzn. ścieków ze śmieciami – powstaje przykra woń. W takich warunkach nie mogą żyć ryby ani rośliny. Moim zdaniem dłużej nie można tolerować tej sytuacji.

Krzysztof z Chełma l. 12

Interesuję się filatelistyką, zbieram modele samolotów i samochodów, a także różnego rodzaju krzyżówki. Waldemar Wasser, ul. A. Mickiewicza 6 m 99, 41-700 Ruda Śląska.

REDAKCYJNA POCZTA

To nie jest przyjaźń

Chciałabym, abyś Ty, „Poczto" i Twoi Czytelnicy pomogli mi. Mam kożankę. Przez jakiś czas sądziłam, że ona naprawdę mnie lubi. Niestety. Czasem, najczęściej w czasie klasówki jest bardzo miła i koleżeńska. Ale potem – nic ją nie obchodzę. W czasie przerw spaceruje z innymi dziewczętami i śmieje się ze mnie. Czasami mam uczucie, że jestem jakąś maszyną, której ona używa tylko do pomocy w nauce. Kiedyś bardzo się na niej zawiodłam. Mam w domu taką książkę, z jakiej nauczyciel języka polskiego robi nam dyktanda. Pokazałam ją koleżance. Po paru dniach, w czasie dyktanda, ona ni stąd ni zowąd mówi do nauczyciela: „Luiza zawsze dostaje piątki, bo umie te dyktanda na pamięć". Miałam z tego powodu nieprzyjemności i oberwałam dwójkę – niesprawiedliwie, bo zasady ortografii mam w głowie. A ona śmiała się ze mnie.

Luiza

OD REDAKCJI: Twoja koleżanka jest nielojalna. Nielojalna jest dlatego, że naskarżyła na Ciebie do nauczyciela i że śmieje się z Ciebie. Tymczasem Ty bardzo dobrze robisz, że do nauki przygotowujesz się nie tylko z podręczników szkolnych, że korzystasz z dodatkowych książek. Tak powinien postępować każdy uczeń. Koleżanka nie rozumie, co to znaczy przyjaźń, bo tylko wykorzystuje Twoją dobroć, nic w zamian nie dając. (bs)

James B. Brenner

28

Opracowanie Stefania Antoniewicz

WIELCY WODZOWIE INDIAN

DENNIS BANKS

Jeden ze współczesnych wodzów Indian amerykańskich działający w AIM (Ruch Indian Amerykańskich), obecnie przebywa w Kalifornii.

Na kilka dni przed zakończeniem okupacji Wounded Knee w roku 1973 Dennis, jak wielu innych Indian, uciekł z rezerwatu, aby nadal działać na swobodzie. Jednak policja USA ścigała uciekinierów i stawiała przed sądem za różne rzekome wykroczenia, bunty i rozruchy, często nawet sprzed okupacji Wounded Knee. Dennis postanowił tak pokierować działalnością AIM, by poprzez wpływ na ustawodawstwo spowodować zlikwidowanie Biura d/s Indian. Chciał, aby Indianie, uwolnieni od kontroli rządowej, przestali się angażować w jakąkolwiek akcję z rządem USA.

Najnowsze wiadomości o Dennisie: był aresztowany i przebywał w więzieniu. Korzystając z możliwości opuszczenia więzienia za kaucją Dennis wpłacił kaucję i uciekł. Przebywając i działając na swobodzie korzystał z opieki Marlona Brando. Na koniec odnaleziono go w domu L. Brightmana w Kalifornii, aresztowano i zażądano ekstradycji do płd. Dakoty. Tymczasem ludność Kalifornii zamanifestowała bardzo ostro przeciwko temu, a gubernator Kalifornii, Jerry Brown odmówił ekstradycji wodza AIM do płd Dakoty „Gdzie Indianie są ofiarami rasizmu, fałszu i niesprawiedliwości w sądach". Znany działacz indiański Vernon Bellecourt w czasie jednej z konferencji w ONZ, na której Dennis nie mógł być obecny, powiedział: „Dennis Banks nie mógł przybyć na konferencję, gdyż wolał wybrać polityczne wygnanie niż poddanie się rasistowskiemu systemowi sądowemu panującemu w płd. Dakocie. Dennis Banks woli być symbolem ruchu oporu na wolności niż w więzieniu. Nie trzeba już więcej męczenników. My, AIM całkowicie popieramy Dennisa Banksa i chcemy kontynuować walkę o prawa dla rodowitych Amerykanów."

Korczak-Ziółkowski, rzeźbiarz największego pomnika świata na Czarnych Wzgórzach w płd Dakocie przedstawiającego Crazy Horse'a, powiedział po spotkaniu z Dennisem: „Jest to naprawdę niezwykły człowiek–dzielny, a przy tym obdarzony jakimś czarem osobistym, jestem pewny, że stanie się on nowym Crazy Horsem dla swojego narodu."

Walka Indian ciągle trwa, choć już pozostało ich w USA już tylko około 750 tys. (ludność USA ponad 200 milionów!), 30% Indian osiedliło się w 283 rezerwatach. W posiadaniu Indian jest jeszcze 16 milionów hektarów lasu, 25% bogactw naturalnych. W obronie tego stanu posiadania, tradycji kulturalnych, prawa do indiańskiego sposobu życia w zgodzie z naturą – walczą współcześni przywódcy Indian, walczy AIM.

Na postaci Dennisa Banksa kończy się nasz album „Wielkich Wodzów Indian", choć o Indianach będziemy jeszcze nieraz pisać.

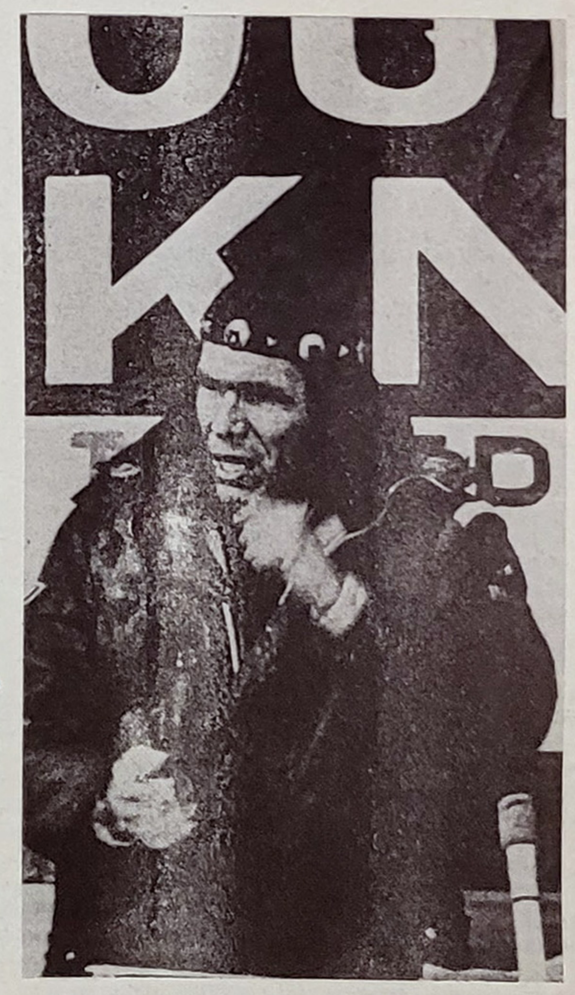

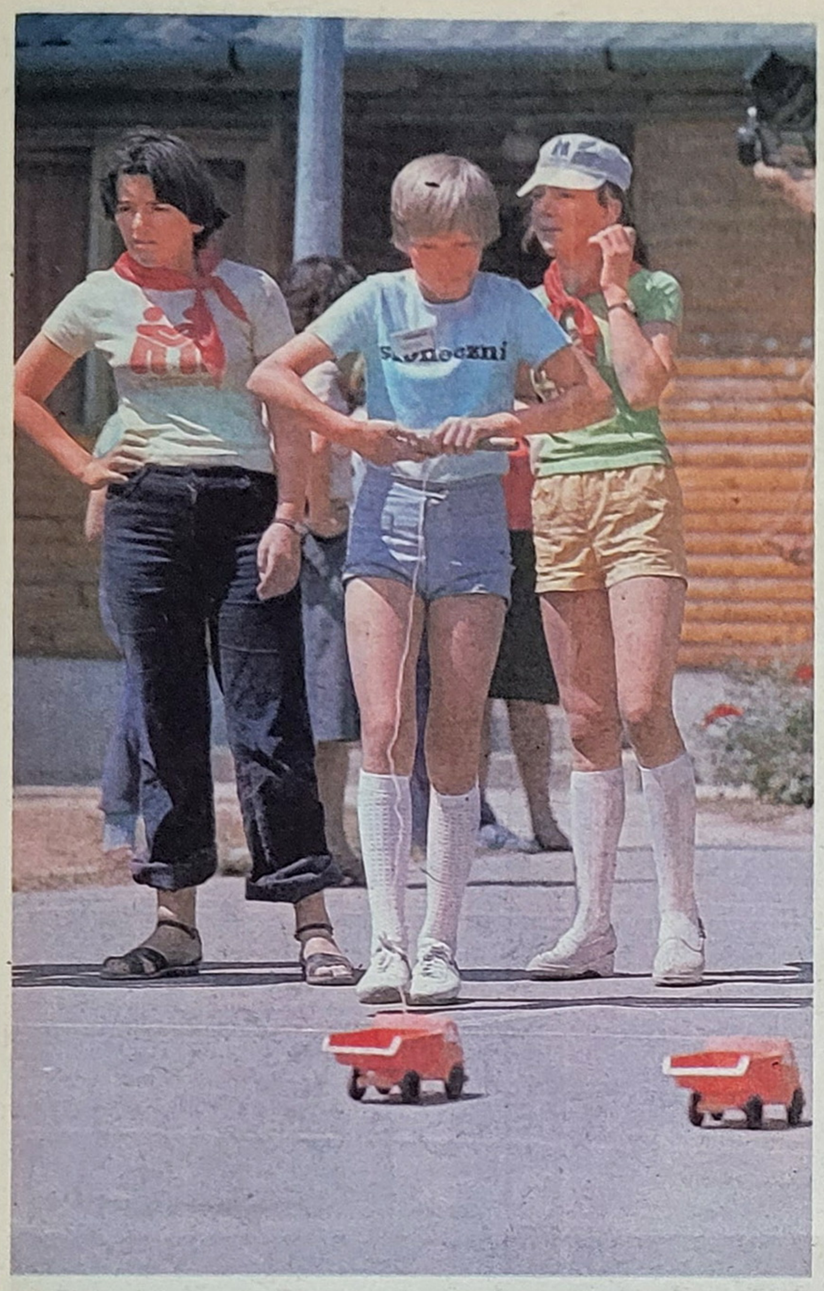

Jeszcze o wakacjach

CZAS NA RADOŚĆ

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

Otwarcia imprezy dokonała Istvanne Szücs – przewodnicząca Związku Pionierów Węgierskich. Podczas uroczystego apelu odczytano list z pozdrowieniami od Janosa Kadara. Młodzież odbyła wiele ciekawych wycieczek, seminariów, odwiedziła liczne wystawy. Uczestnicy Europejskich Spotkań Dzieci gościli prawie przez dwa tygodnie w Centralnym Obozie Pionierów Węgierskich w Zance nad Balatonem. Nie zabrakło oczywiście czasu na zabawę i wypoczynek. Tańczono w Karnawale Przyjaźni, śpiewano podczas Festiwalu Piosenek, rywalizowano w wielu konkursach. Jak zwykle podczas takich międzynarodowych imprez zrodziło się wiele przyjaźni, sympatii i... miłości. Polskę reprezentował Harcerski Zespół Katowickiej Chorągwi ZHP „Słoneczni". (**ach**)

Fot. **Bela Szaloy**

Fioletowa pieczątka na policzku

– Do obwodnicy i za kościołem na lewo – pani ze straganu przy szosie, przyzwyczajona widać do udzielania informacji bez wahania daje precyzyjne wyjaśnienie jak z Giżycka dotrzeć do wskazanej miejscowości. Kłopoty zaczynają się później. Okolice zdają się być bezludne. Nieliczne domostwa mijane po drodze – opustoszałe.

Jest to przecież najsłabiej zaludnione województwo w Polsce (40 osób na km kw.).

Mimo zupełnego braku drogowskazów, posuwając się na północ od Giżycka prędzej czy później natrafiamy na tablicę informacyjną, która oznajmia, że już niedaleko do Pieczarek – obozu warszawskiego Pałacu Młodzieży.

Wspomnienia z wakacji

Tu latem skupia się życie Pałacu Młodzieży. W odwiedziny do stacjonujących obozów stałych przybywają obozy wędrowne. Z horyzontów jeziora Dargin wpływają do portu żaglówki. Ten port należy do obozu i został wybudowany już dawno w ramach PSU. Tak nazywane są tu prace społeczno-użyteczne. Każdy obóz, który przyjeżdża z wizytą, dokonuje jakiegoś PSU na rzecz obozu lub pobliskiej ludności, tak jak i stali obozowicze, czyli „Pieczarki". Żeby zostać pełnoprawnym Pieczarkiem (nie pieczarką), należy przejść przez specjalny ceremoniał, zwany pieczarkowaniem.

Stało się już tradycją, że odbywa się on 13 dnia każdego turnusu. Co roku impreza jest trochę inna – zależnie od nowych pomysłów, a także aury, która w tym roku, niestety, nie dopisała. Tegoroczną pogodę charakteryzowały dziwne właściwości. Po dwugodzinnym deszczu wyglądało słońce i wszyscy pędzili do namiotów, by przebrać się w lżejsze ubrania. Po kwadransie znowu trzeba było nakładać peleryny, aby po następnej półgodzinie można było opalać się spokojnie.

Mimo to popołudniową porą przygotowania do ceremonii zostały podjęte. W siąpiącym deszczu ustawiono tor przeszkód. Na trawniku przed kapitanatem stanął namiot mniejszych rozmiarów. Deszcz wzmagał się i nie wiadomo było czy rekwizyty nie staną się niczemu nie służącą dekoracją. Zbliżała się pora pieczarkowania. Kandydaci na pieczarkowiczów gromadzili się coraz tłumniej.

Wraz z upływającym czasem postępował narastający chaos. Neptun nie miał jeszcze zielonej brody ani skompletowanej świty. W motorówce coś się zacięło, program całości gdzieś zaginął. Nikt z organizatorów nie tracił jednak zimnej krwi. Z radiowęzła, poprzez głośniki rozmieszczone na terenie obozu, dobiegały dowcipne komentarze do wszystkiego, co wokół się działo.

Neptuna oczekuje niemalże pięćset osób (w tym kilkudziesiąt czyni to pierwszy raz). U wejścia do portu z mikrofonem w ręku stoi prezenter programu – członek kadry, znany powszechnie pod dźwięcznym pseudonimem – Gwizdek. Jest to ważna osobistość na obozie. Zajmuje się przede wszystkim organizacją imprez sportowych, takich jak np. Dzień Sportu, w którym to dniu reprezentacje wszystkich obozów biorą udział w najrozmaitszych konkurencjach. Widniejąca na horyzoncie wyspa (odległość od brzegu ok. 2 km) jest elementem innej imprezy. Każdego lata chętni spośród obozowiczów na każdym turnusie pokonują odległość od wyspy do brzegu, walcząc o Błękitną Wstęgę Darginu. Każdego zawodnika asekuruje kajak. Rzadko się jednak zdarza, by ktoś skorzystał z jego pomocy. Pan instruktor Gwizdek zajmuje się nie tylko działalnością sportową, ale także w wolnych chwilach prowadzi Tawernę Donalda. To właśnie stamtąd pochodzą lizaki, które teraz część obozowiczów gryzie ze zniecierpliwieniem.

Na horyzoncie koło wyspy pojawia się motorówka. „Witaj nam, Neptunie!" – wołano do wchodzącego na ląd Neptuna, postępującej za nim Prozerpiny i otaczającej ich świty. Boska rodzina przedstawia się imponująco. Pan Gwizdek korzysta z okazji, by zareklamować obozową ścieżkę zdrowia: „Trenuj na ścieżce zdrowia, a będziesz miał sylwetkę Neptuna!"

Władca wód wraz z osobami towarzyszącymi zajmuje swe miejsce i po krótkiej przemowie właściwa część ceremonii zostaje rozpoczęta.

Wstępujący w szeregi Pieczarków, zgodnie z instrukcjami płynącymi z głośników, przebywają tor przeszkód, dopingowani przez wszystkich zgromadzonych. Instrukcje i objaśnienia są niezbędne, bowiem na pierwszy rzut oka trudno domyślić się przeznaczenia niektórych przeszkód. Np. niepozorna konstrukcja z boku, pokryta kocem – dopiero przechodząc pod nią uczestnik przekonuje się na... własnych kolanach, że wewnątrz ukryte są szyszki. Stojący po bokach funkcyjni z wiosłami w rękach przyspieszają tempo pokonywania toru przeszkód. Przepychają opornych przez koło ratunkowe przymocowane linkami do metalowych drążków. Z tej przeszkody idzie się wprost do „namiotu łaskotania". Stamtąd delikwent trafia w ręce najbardziej sumiennych funkcyjnych. Każdy zostaje poczęstowany łyżką koszmarnej mikstury, nie pomogą próby przekupstwa, ani wyrywanie się. Bohaterskie przebycie tej próby nagrodzone zostaje odciśnięciem na policzku fioletowej pieczątki w kształcie grzybka. To świadectwo, że jest się Pieczarkiem.

Świeżo upieczony Pieczarek musi teraz pokłonić się Neptunowi i pocałować go w prawe kolano. Neptun, w białych szatach, z koroną na głowie i trójzębem w dłoni – na znak łaski przemawia czasem kilka słów do swych nowych poddanych. Ich nazwiska zapełnią w tym roku dalsze karty potężnej czerwonej księgi mieszczącej nazwiska wszystkich pieczarkowanych.

Zakończenie ceremonii zbiega się z zachodem słońca. Na dźwięk melodii płynącej z głośników wszyscy stają na baczność zwróceni w stronę zachodzącego na horyzoncie słońca. Ach... Pieczarkiem być!

KORNELIA NAMYSŁOWSKA

Fot. **L. Surowiec** (**KAW**)

NASZ CZYTELNIK Z WARCINA ZNALAZŁ KOLEJNE OKAZY RZADKIEJ PURCHAWICY OLBRZYMIEJ

Czekamy na dalsze doniesienia o purchawkach-gigantach!

Grzyb ten występuje także na terenie Warcina, wsi położonej niedaleko miasteczka Kępice w północno-zachodniej części woj. słupskiego. Stanowisko purchawicy olbrzymiej znajduje się w parku przy Zespole Szkół Leśnych. Grzybnia rozwija się na łące, w miejscu ciepłym, zacisznym, gdzie gleba jest umiarkowanie wilgotna i zasobna w próchnicę.

Spośród sześciu wytworzonych przez grzybnię owocników w latach 1976–1978 dojrzały tylko dwa – po jednym w 1977 roku i 1978 roku. Pozostałe owocniki zniszczone zostały prawdopodobnie przez dzieci przebywające tu na kolonii letniej. Dojrzałe na przełomie sierpnia i września owocniki miały obwód 60 cm i 85 cm. Zarodniki z tych owocników wysypywały się od jesieni do wiosny następnego roku, najobficiej w czasie pogodnych dni września i października. Jeden owocnik dojrzał dzięki temu, że został celowo osłonięty gałązkami drzew i źdźbłami roślin zielonych, drugi wyrósł pod osłoną gąszczu śnieguliczki białej.

Purchawica olbrzymia zasługuje na szczególną ochronę, gdyż jest grzybem bardzo rzadkim, a jej białe początkowo, dużych rozmiarów owocniki są łatwo dostrzegalne i niszczone przed ich dojrzewaniem. Przeto koniecznością jest odnajdywanie i ochrona nowych stanowisk purchawicy olbrzymiej.

Henryk Kołowski
Warcino, woj. słupskie

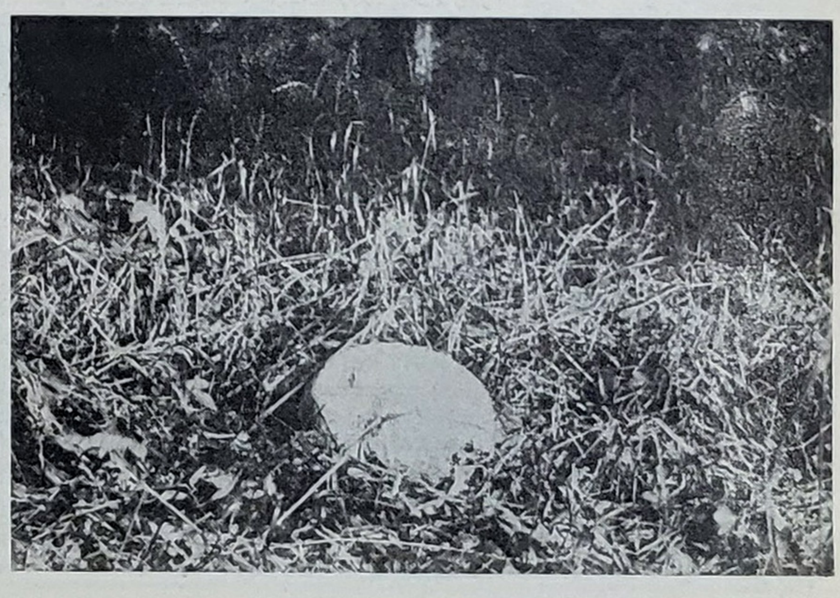

1

2

3

4

5

6

7

Skrzydlaci spod Warszawy

Przyznam, że czasem się dziwiłem, spotykając przedstawione tu ptaki i znajdując ich gniazda tuż za rogatkami stolicy, a nawet na jej obszarze. Bowiem przynajmniej niektóre z nich kojarzały mi się dotąd z rozległymi lasami, jeziorami i bagnami.

Choćby – **żuraw** (fot. 1). Ten rzadki już i bardzo płochliwy ptak żyje w leśnych, podmokłych ostępach, z dala od ludzi. A jednak znalazłem tej wiosny jego gniazdo kilkanaście kilometrów od Warszawy. Ten, którego widzicie na zdjęciu został wprawdzie sfotografowany gdzie indziej, ponad 50 km od stolicy (czyli – też nie tak znów daleko), za to w odległości 200 m od... stacji kolejowej. Opiekujące się gniazdem żurawie za nic miały łoskot przejeżdżających pociągów, jak i szelest migawki aparatu.

Trzciniak (fot. 2) – to wprawdzie ptaszek pospolity, ale jego widok, a nade wszystko trzeszczący głos kojarzy się przede wszystkim z jeziorami, gdyż na ich obrzeżach, w gęstwienie trzcin, jest naprawdę liczny. Tymczasem w tym roku znalazłem jego gniazdo na pograniczu wielkiej Warszawy, na nikłym bajorku, do którego dojeżdża się autobusem miejskim.

Szlamnik rycyk (fot. 3), mieszkaniec rozległych łąk i błot Polesia Lubelskiego czy Bagien Biebrzańskich, jest ptakiem szerszemu ogółowi nieznanym i na większości obszarów Polski rzadkim. Mało kto wie, że do niedawna gnieździł się na peryferiach Warszawy – na łąkach Wawrzyszewa, Wilanowa i Gocławia. Jego zdjęcie zdobyłem w tym roku pod Modlinem.

Dzięcioł czarny (fot. 4), dość rzadki, gnieździ się w stołecznych lasach komunalnych – na Bielanach, w Powsinie i Marysinie Wawerskim.

Gniazdo **krogulca** (fot. 5), dziś już rzadkiego skrzydlatego drapieżnika, obserwowałem tej wiosny również na peryferiach Warszawy. Ptaki gnieździły się w karłowatym lasku sosnowym, wśród zapachu perfum, napływającego z sąsiedniej fabryki kosmetyków.

Podlotka **sroki** (fot. 6) sfotografowałem na własnym podwórku. Ptaki te od dwóch lat gnieżdżą się na topoli, rosnącej między blokami.

Dotąd słyszałem, że chcąc sfotografować stada szykujących się do odlotu **bocianów** (fot. 7), trzeba wyruszyć gdzieś nad Biebrzę i Kanał Augustowski. Obeszło się bez dalekiej podróży – przedstawione zdjęcie zrobiłem znów blisko Warszawy, nad Narwią pod Nowym Dworem Mazowieckim.

Tekst i zdjęcia: **TOMASZ KŁOSOWSKI**

Nasi Czytelnicy piszą

Bocianie manewry

Lato, które nie było zbyt ładne, ma się ku końcowi. Przekonuję się o tym patrząc nie na kartki kalendarzowe, ale na zachowanie ptaków.

Dzisiaj, będąc w polu, zauważyłem dużą grupę bocianów. Naliczyłem ich ponad pięćdziesiąt. Bociany te grupują się w dzień, ale na noc powracają jeszcze do swoich rodzinnych gniazd. Są one jak gdyby „nieskoszarowanym wojskiem" i przeprowadzają (używając nadal terminów wojskowych) swoje „manewry", które zmierzają do zgrania stada i do przygotowania go do odlotu. „Manewry" te przygotowują też do odlotu młode sztuki. Lecz, niestety, nie wszystkie osobniki będą mogły odbyć tak długą i męczącą podróż, bo niektórym nie pozwoli na to stan zdrowia.

Zachowanie się bocianów zapowiada szybkie nadejście jesieni. *„Lato, lato i po lecie, bo już bociek chce odlecieć"* A więc żegnaj lato i... żegnajcie boćki.

Wiesiek,
Mircze

BYŁEM W TYM OGRODZIE...

Nie tak dawno czytałem w „Świecie Młodych" artykuł o Ogrodzie Fauny Polskiej w Bydgoszczy. Chciałbym jeszcze raz zachęcić wszystkich czytelników, aby przekazali swoich dzikich wychowanków temu ogrodowi. Jestem bydgoszczaninem, miłośnikiem ptaków i przyrody, więc oczywiście byłem w ogrodzie kilka razy. Zgromadzono w nim 40 gatunków zwierząt – w tym 25 ptaków i 15 ssaków. Zbyt wielu gatunków zwierząt nie ma, ale myślę, że dzięki czytelnikom liczba ta powiększy się. Wśród ptaków spotkanych w OFP jest kruk, kania ruda, błotniak stawowy, puchacz, sowa śnieżna, puszczyk, łabędź krzykliwy, kormorany. Ssaki reprezentują: żubry, tarpany, łosie, wilki, lisy, tchórze, kuny, norki. Ogród został świetnie usytuowany w lasku brzozowym i iglastym. Klatki i wybiegi są dość przestronne, niektóre wybiegi są jeszcze w budowie. Trwa budowa jeziorka, choć mały jego zaczątek, staw, jest w użytku łabędzi, kormoranów, gęsi gęgawych z młodym przychówkiem. Po całym ogrodzie wolno chodzą białe bociany. OFP ma moim zdaniem duże znaczenie, gdyż jest jedynym w Polsce ogrodem, w którym można obserwować zwierzęta żyjące w naszym kraju, co ułatwi rozpoznanie ich. Do ogrodu jest dobry dojazd autobusem linii nr 52, a następnie specjalnym autobusem do Myślęcina. Namawiam wszystkich bydgoszczan i przyjezdnych do odwiedzenia go. I jeszcze raz apeluję o przesyłanie dyrekcji OFP dzikich zwierząt.

(wm)

Marek Ziółkowski
z Bydgoszczy

Równie trudne jak walka

CIĄG DALSZY ZE STR. 2

REWOLUCJA

„W dniu 19 lipca – powiedział jeden z przywódców Frontu, Victor Firado Lopez, **zwyciężyła w Nikaragui insurekcja, która nie była jeszcze rewolucją. Rewolucja jest procesem, który musi doprowadzić do zmiany struktury społecznej."** Ten proces się zaczął. Ma on jednak w Nikaragui swoją specyfikę – nie narusza interesów nikogo z uczestników powstańczego buntu przeciwko dyktaturze Somozy i władzy obcych monopoli.

Szczęśliwą okoliczność dla rewolucji stanowi fakt, że tak ogromna część gospodarki była własnością rodziny Somozów. Ich dobra przeszły na własność narodu i państwa. Narodowy Instytut d/s Reformy Rolnej dokonał już wywłaszczenia 250 tys. żyznych ziem należących do Somozy. Tworzy się na nich państwowe kompleksy rolniczo-przemysłowe, a także parceluje te ziemie między najuboższych chłopów. Przejęte zostały również przez państwo fabryki Somozy, upaństwowiono prywatne banki. Monopolem państwowym objęty został handel zagraniczny.

Ale jednocześnie rewolucja zagwarantowała właścicielom ziemskim i fabrykantom swobodne prowadzenie ich przedsiębiorstw i plantacji. Żąda się od nich jedynie, by czuli się współodpowiedzialni za odbudowę kraju, by jak najszybciej uruchamiali swe zakłady, by zatrudniali jak najwięcej pracowników w celu likwidacji klęski bezrobocia. Nikaragua będzie więc prowadzić gospodarkę mieszaną – państwową i prywatną.

Już w tych pierwszych tygodniach po zwycięstwie nad Somozą ludzie pracy zaczęli odczuwać troskę rządu, jakiej nie zaznali nigdy w swym kraju. Decyzją rządu wypłacono robotnikom utracone za okres strajku generalnego zarobki. Z jego poparciem w przedsiębiorstwach prywatnych tworzy się związki zawodowe. Na połowę września przygotowano uruchomienie szkół. Zapowiedziano rok 1980 – Rokiem Oświaty, by zacząć likwidować analfabetyzm. Jak na pierwsze tygodnie – to bardzo dużo.

A DALEJ?

Nie wszystko zależy od samych Nikaraguańczyków. Milion mieszkańców głoduje. Pomoc w żywności i w lekach jest – jak dotychczas – niewystarczająca. A przecież od tego zależy przeżycie tysięcy ludzi. Te pierwsze tygodnie wolności są równie trudne jak walka zbrojna, teraz płaci się cenę zwycięstwa. Oby nie została ona jeszcze podwyższona! Dziennik Frontu Wyzwolenia Narodowego, „Barricada", zamieścił przed kilku dniami artykuł pod wymownym tytułem: **„Niech nam pozwolą żyć w pokoju".**

JERZY MAJKA

Redaguje Włodzimierz Lewiński

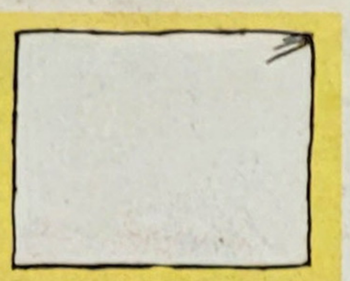

Autorką mego „portretu" jest Agata Chruściel. Pisze tak: *Nie umiem zupełnie rysować, więc przedstawiam Cię, Rzepie w czapce niewidce!...*

Cześć!

Oto kilka anegdotek nadesłanych przez Anię Wróblewską:

W szkole

– Jacusiu, twoje wypracowanie o psie jest słowo w słowo jak twego brata!

– No, bo to jest ten sam pies, panie profesorze...

***

– Pani Kowalska, czemu nie postawi pani stracha na wróble w ogródku?

– A po co, przecież jestem tam sama przez cały dzień!...

Kłopot

– Mam zmartwienie, mój Jaś nie jest zdolny do niczego...

– Powinna pani być zadowolona, mój jest zdolny do wszystkiego!

Na targu końskim

– Czy ten pański koń jest zbyt strachliwy?

– Skąd?! Zostaje sam jeden w ciemnej stajni na noc!

U okulisty

– Z bliska widzi babcia?

– Tak.

– A z daleka?

– O, aż spod Swarzędza!

Do zobaczenia!

Wasz Rzep

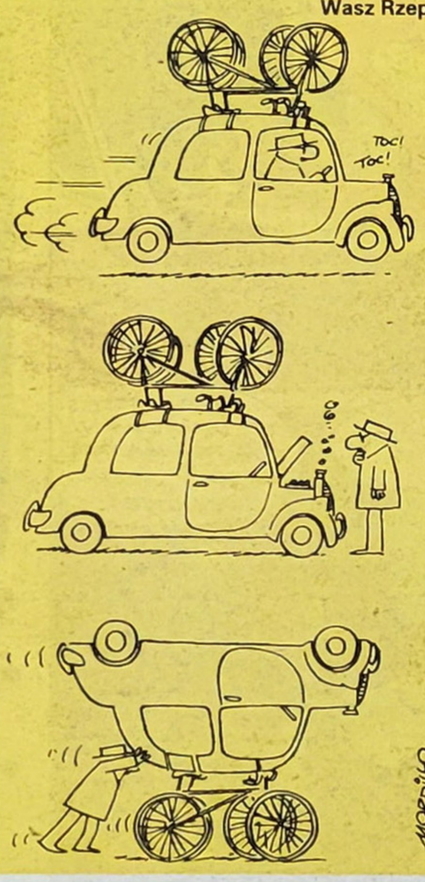

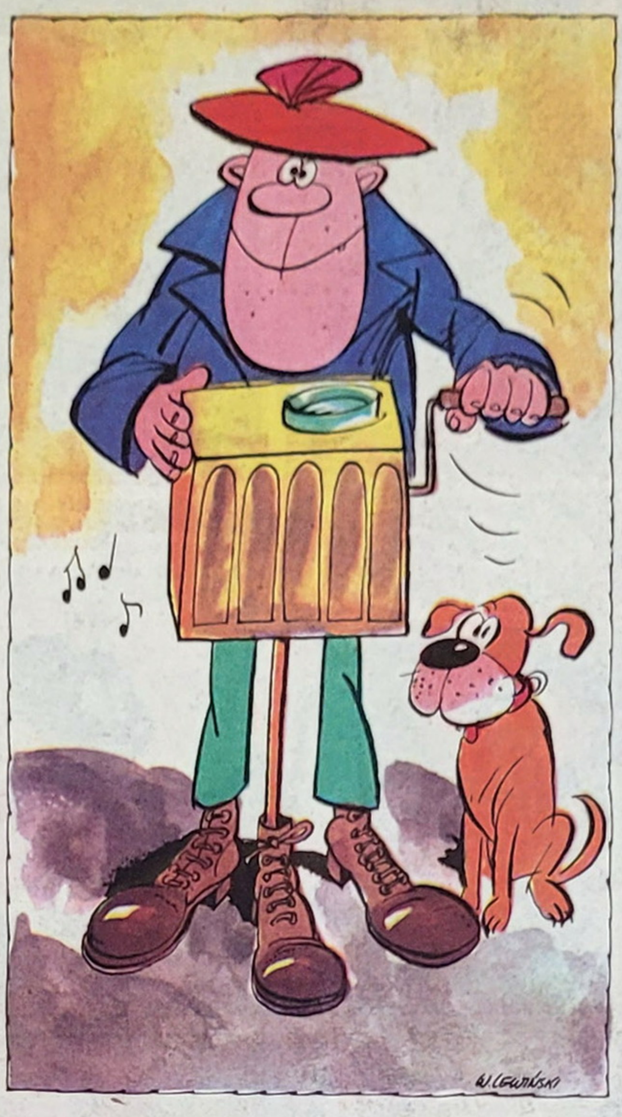

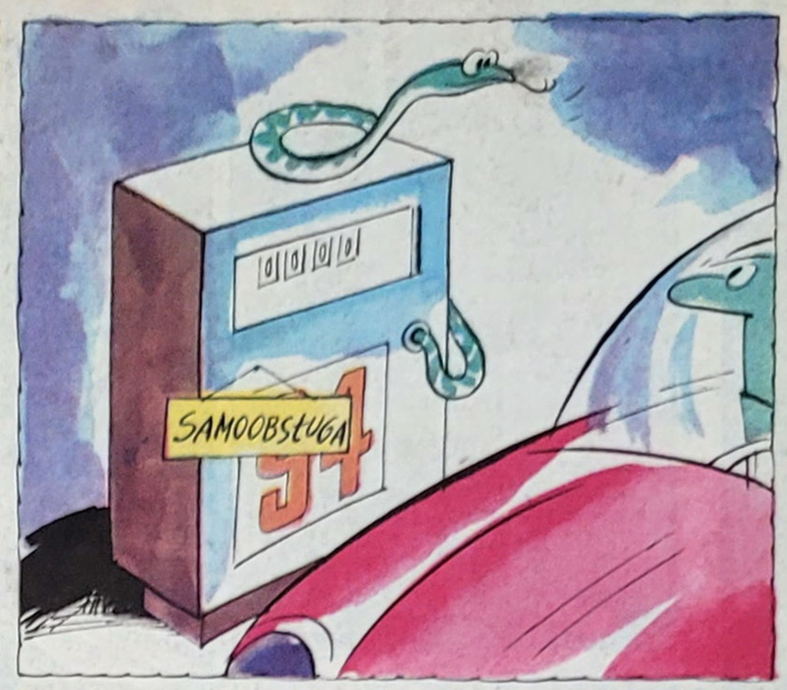

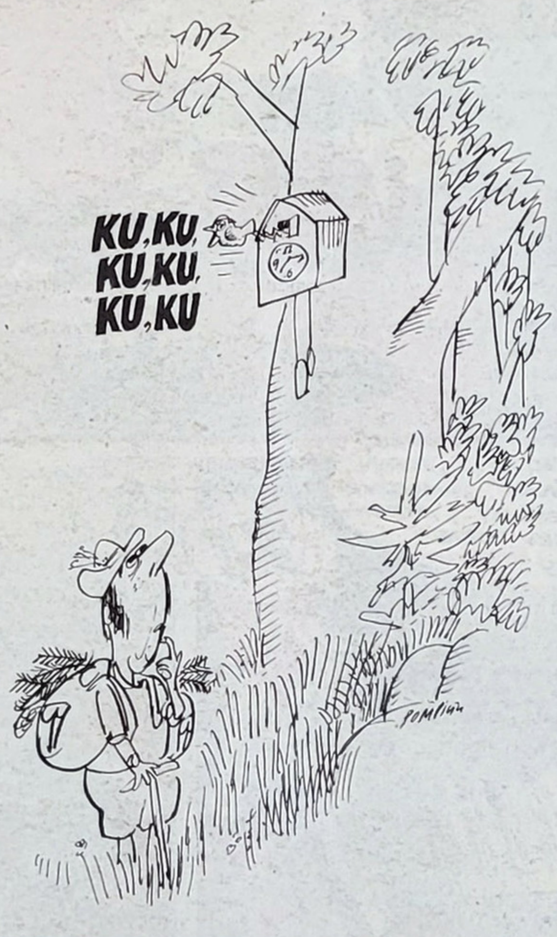

Dziś gościmy na naszych łamach rumuńskiego rysownika – humorystę Pompiliu Dumitrescu

– Jeden z moich lokatorów widział, jak się pan zakradał na moje podwórze i zabierał kupę różnych rzeczy i właśnie tę korbę. A także pogrzebacz, obcęgi i Bóg wie co jeszcze. A teraz niech pan oddaje wszystko w tej chwili, bo zawołam policję.

Przystojniak zeskoczył z bryczki i smyrgnął w stronę komórki na drzewo. Właśnie otwierał drzwiczki, kiedy stary go zawołał.

– Wracaj w tej chwili! – rozkazał.

Przystojniak zatrzymał się.

– Muszę panią uprzejmie przeprosić – zaczął stary. – Otóż było tak: przechodziłem przypadkowo koło pani domu i zobaczyłem na ziemi jakieś stare rdzewiejące żelastwo. Byłem pewny, że pani zamierza się go pozbyć, więc zabrałem je. Myślałem, że robię pani w ten sposób prawdziwą przysługę. Chłopcy właśnie robili porządki dokoła naszego domu, więc pani rzeczy pomieszały się z naszymi.

– Lepiej niech pan pomyśli, jak to wszystko oddać, bo pójdzie pan gnić w kryminale – oświadczyła pani Fuller.

Podczas gdy stary przywoływał Przystojniaka, pani Fuller odwróciła się i poszła w stronę swojego domu.

– Przystojniak – nakazał ojciec – przynieś no te gumowce.

Przystojniak poszedł na werandę i przyniósł gumowce.

– Niech ci to posłuży za nauczkę – powiedział stary. – Powinieneś mieć dosyć oleju w głowie na to, żeby nie podnosić byle czego z ziemi, bo to się może okazać czyjąś własnością prywatną.

– Ja? – Przystojniak trząsł się na całym ciele. – To o mnie pan mówi?

Ojciec wręczył mu gumowe buciory. Przystojniak upuścił je na ziemię.

– Odnieś je do sklepu Franka Dunna i powiedz, że mnie uwierają. Potem każ mu zwrócić pieniądze.

– Ja? Pan to mówi do mnie, panie Morris?

Ojciec tylko skinął głową.

– Jak już otrzymasz pieniądze za buty – ciągnął niewzruszenie – to pójdziesz tam, gdzie ten facet skupuje złom, i powiesz mu, że zmieniłeś zdanie i że chcesz odebrać wszystko, co nasze. Daj mu te cztery dolary, a potem wygrzeb z kupy żelastwa nasze graty, a zwłaszcza pamiętaj o korbie od studni. Załaduj wszystko na wóz i wracaj. Jak wrócisz, będziesz mógł odnieść pani Fuller jej rzeczy.

– Chyba nie ja! – wściekał się Przystojniak. – Przecież pan chyba też maczał w tym palce. Te gumowce nie są moje i...

Ojciec podniósł buty i wetknął je Przystojniakowi w ręce.

– Kiedy wytłumaczyłeś mi, że te buciory na nic mi się nie zdadzą, bo tu nigdy nie ma błota, postanowiłem ci je darować...

– Taaak? Ale kiedy pan to zrobił, panie Morris?

– Przed chwileczką.

– Jak babkę kocham, panie Morris, nigdy nie miałem ochoty na gumowce. Jak żyję. Nigdy mi to nawet nie przyszło do głowy!

Przystojniak próbował oddać buty tacie, ale stary odpychał go. Przystojniak drżał na całym ciele i usiłował coś powiedzieć.

– Przestań gadać i rób, co ci każę – powiedział stary surowo. – Byłoby mi bardzo przykro, żeby cię jeszcze wzięli do kryminału w taki piękny dzień.

Podał Przystojniakowi lejce i wepchnął go na kozioł. Potem podniósł buciory i rzucił je za nim.

Następnie klepnął Idę ręką po zadzie, a ona kłusikiem wyjechała z podwórka i na ulicę. Przystojniak zniknął za węgłem, lamentując na cały głos i oburącz trzymając się siedzenia.

Stary podszedł do puszki z robakami i patrzał na nie przez dłuższą chwilę. Potem podniósł puszkę i kazał mi znaleźć łopatę. Poszliśmy za stodołę, tam, gdzie Przystojniak wykopał robaki i ojciec wyrzucił je na ziemię. Zaczęły się szybko rozłazić na wszystkie strony, ale stary wziął patyk i wepchnął je do dołka, który wykopał rano Przystojniak.

– A teraz nakryj je dobrze, synu – oświadczył. – Na ryby już za późno. Ale jak mama pojedzie następnym razem do twojej cioci, to sobie użyjemy.

Nakryłem dół ziemią, a stary uklepał ją mocno, tak żeby się trzymała wilgoć i żeby nam się robaczki dobrze uchowały na następny raz.

VI. PRZYSTOJNIAK BROWN I DZIĘCIOŁY

Od dłuższego już czasu dokuczały nam dzięcioły. Z początku było ich niewiele, ale na wiosnę pobudowały szereg gniazd, a kiedy młode wyrosły i zaczęły walić w drzewo, zrobił się taki raban, że od świtu nikt oka zmrużyć nie mógł. Dzięcioły mieszkały w starym klonie na naszym podwórku i zdaniem mamy należało go po prostu ściąć i tyle. Stary powiedział, że wolałby, żeby republikanie wygrali wszystkie wybory stanowe, niż żeby miał ściąć ten klon.

Cdn.

(c) 1943 by Erskine Caldwell

na wakacjach

TEKST I RYSUNKI: SZARLOTA PAWEL

ZONKA, ZONEK I KLEKS

ŚWIAT MŁODYCH
Warszawska Gazeta Najmłodszych

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa;

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-77-33, telex 0315569).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY.

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Marian Twaróg, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:

Red. naczelny	21-15-61
Sekr. redakcji	28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami	21-81-13
TELEX	81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA – RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046.

Opracowanie graficzne
Grażyna Klechniowska

Opracowanie techniczne
Małgorzata Kula

Nr zam. 5466 C-119

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

W następnym numerze znajdziecie:

- Relacje z zakończenia Międzynarodowego Spotkania Dzieci w Bułgarii
- Wywiad z prof. dr Marianem Weissem – dyrektorem Stołecznego Centrum Rehabilitacji w Konstancinie
- Sopockie impresje'79

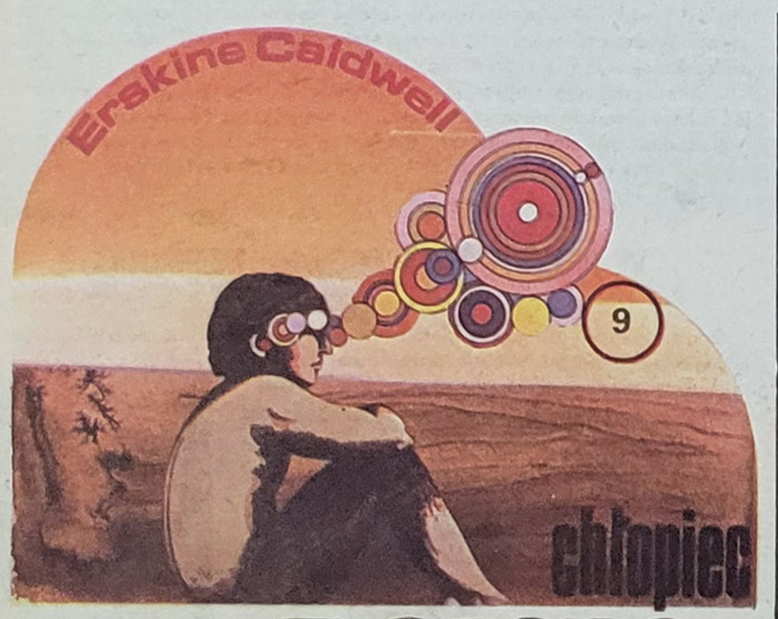

Przełożyła MIRA MICHAŁOWSKA

Z GEORGII

Usiedliśmy na stopniach i patrzyliśmy za tatą. Siedzieliśmy tak przez długi czas, a słońce wspinało się wyżej i wyżej na niebie. Po pewnym czasie Przystojniak poszedł do domu, żeby zobaczyć, która godzina. Słońce było tuż nad naszymi głowami.

Poczekaliśmy jeszcze godzinę i zobaczyliśmy wreszcie z dala długie uszy Idy unoszące się nad furtką ogrodową. Pobiegliśmy staremu na spotkanie. Uderzył Idę lejcami i skręcił od razu w podwórze.

– Czy jedziemy teraz na ryby, panie Morris? – Przystojniak nie dawał za wygraną. – Jeżeli się nie pospieszymy, to ryby przestaną brać.

Stary wygramolił się z bryczki. W ręku trzymał parę nowych, wysokich do kolan, gumowych butów. Postawił je na ziemi, a my gapiliśmy się na nie.

– Jak dostałem cztery dolary od tego faceta – powiedział – to od razu pomyślałem o tych butach w sklepie Franka Dunna. Miałem je od dawna na oku. I sam nie rozumiałem, jak mogłem się tyle czasu bez nich obejść.

– A co pan ma zamiar z nimi robić?

– Nosić je, bo co?

– Nie widziałem, jak żyję, takiego błota, żeby człowiek potrzebował aż takich wysokich kaloszy. U nas sam piasek – oświadczył Przystojniak.

– To dlatego, że nawet nie raczyłeś zauważyć, jakie tu są czasami robi błocko po deszczu.

– Może być, ale za godzinę wszystko wysycha. Zanim znajdzie pan te buty i włoży, już trzeba je będzie zdejmować. Mogliśmy świetnie pójść na ryby zamiast marnować tyle czasu. Nim pani Marta znowu wyjedzie, minie rok i tyle zobaczymy ryby. Mogliśmy nałowić kupę ryb przez ten czas, cośmy zmarnowali na te buty.

– Licz się ze słowami – obruszył się tata. – Zaraz pójdę na ryby i zostawię cię w domu.

– Oj, niech pan tego nie robi, panie Morris – przestraszył się Przystojniak. – Ja nic złego o tych butach nie powiedziałem. To bardzo piękne buty, najpiękniejsze gumowe buty, jakie widziałem w życiu. Na wypadek deszczu to prawdziwy ratunek. Żałuję, że nie są moje. Gdybym był właścicielem tych butów, byłbym najdumniejszym człowiekiem na świecie.

Ojciec poszedł się znowu napić wody z kubła. Wrócił i położył rękę na poręczy bryczki.

– Gdzie te robaki, synu? – spytał.

Pobiegłem, przyniosłem puszkę i wszyscy trzej wdrapaliśmy się na bryczkę. Stary zebrał lejce i właśnie zamierzał dać Idzie znak do odjazdu, kiedy tylną furtką wbiegła na podwórze pani Fuller. Pani Fuller jest wdową, która mieszka w sąsiedniej uliczce za nami i trzyma lokatorów. Ma jakieś pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat i zawsze na coś narzeka.

– Chwileczkę, Morrisie Stroup! – krzyknęła. Podbiegła i wyrwała ojcu lejce z rąk.

Stary próbował zejść z bryczki, ale pani Fuller zastąpiła mu drogę.

– Gdzie są te rzeczy, które pan zabrał z mojej kuchennej werandy? – spytała groźnie. – Nie mam kropli wody w domu i nie mogę nic zrobić, bo zabrał mi pan korbę od studni.

– Coś mi tu nie pasuje – stwierdził stary. – Zna mnie pani i wie, że nie jestem człowiekiem, który by sąsiadce zabrał korbę od pompy.

Dokończenie na str. 7